

Wykład Profesora Andrzeja Stelmachowskiego

Duch Uniwersytetu

Przede wszystkim niech mi wolno będzie wyrazić głęboką wdzięczność Senatowi Uniwersytetu w Białymstoku i wszystkim tym, którzy przyczynili się do nadania mi tytułu doktora honoris causa, najwyższego odznaczenia jakim dysponuje uczelnia akademicka. Wdzięczność ta jest tym większa, że uroczystość dzisiejsza odbywa się z udziałem grona osób tak wybitnych i zasłużonych w dziele budowy III Rzeczypospolitej, w gronie moich dawnych i aktualnych współpracowników naukowych, a nadto w dniach uroczystości będących udziałem miasta Białegostoku.

Parę dziesiątków lat związków z Uniwersytetem w Białymstoku przypadają na okres szczególnie, mianowicie na czas poprzedzający jego formalne utworzenie jako samodzielnej uczelni, gdy z wolna kształtował swoją osobowość, by wreszcie osiągnąć swoją dojrzałość w długoletnim procesie stawania się uczelnią akademicką. Współuczestnictwo w tym procesie dojrzewania było doświadczeniem fascynującym, gdyż pozwalało obserwować rozwój środowisk, poszczególnych pracowników naukowych, pracowników administracji i obsługi, wreszcie studentów. Najważniejszy był wszakże duch Uniwersytetu i jego powolne krystalizowanie się.

Tak się bowiem dzieje, że każdy uniwersytet tworzy własne tradycje, własne oblicze, jemu tylko właściwe. Proces ich tworzenia przebiega najczęściej żywiołowo, jako suma działań wielu jednostek, z reguły nawet nie uświadamiających sobie, jak dalece wpływają na kształtowanie się owego ducha zbiorowości. Przykładem może być słynny Uniwersytet w Oxfordzie, który formalnie nigdy nie był założony.

Uniwersytet w Białymstoku także powstawał „na raty”. Przez dłuższy czas był filią Uniwersytetu Warszawskiego, przy czym stosunkowo późno pojawiła się idea jego usamodzielnienia. Stąd rozwój kadry naukowej początkowo był powolny, a większość profesorów dojeżdżała na zajęcia dydaktyczne z Warszawy, niekiedy w warunkach prymitywnych. Do dziś dnia niektórzy wspominają, jak to w okresie ostrej zimy, gdy normalny ruch pociągów był sparaliżowany, dojechali na miejsce w lokomotywie.

A przecież uczelnia białostocka od początku miała swój „styl”. Wielką rolę odgrywały w tym panie z dziekanatu, które przyjmowały nas jak długo wyczekiwanych gości z ogromną serdecznością i gościnnością. Zresztą ów „ludzki” stosunek cechował także ich odnoszenie się do studentów. Duch koleżeństwa istniał także wśród kadry naukowej, zwłaszcza asystenckiej. Nie znaczy to oczywiście, że

nie zdarzały się spory i zderzenia indywidualności. Nader często miały one jednak charakter sporów na pół-rodzinnych ludzi, którzy mogli się lubić lub czuć do siebie awersję, ale wszystko to w ramach stosunku bliskości. Wyznaję, że czasem za-zdrościłem tego właśnie stosunku bliskości i ducha koleżeństwa, którego nie odczuwałem w dużych uczelniach.

Uwzględnić przy tym trzeba fakt, że wzrastanie młodej kadry, dziś już w znacznej mierze profesorskiej, nie było łatwe. Na miejscu dopiero tworzono bibliotekę, zakładano laboratoria. Stopnie naukowe trzeba było zdobywać przed nieznanymi im radami wydziałów. A jednak dokonano tego i dziś mamy liczną kadrę pracowników naukowych wychowaną na uczelni, współdziałającą zgodnie z profesorami, którzy przybyli z różnych stron Polski i osiedli tu na stałe. Ich wspólny wysiłek i poparcie środowiska doprowadziły po wielu latach do utworzenia samodzielnego uniwersytetu w sensie formalnym. W sensie materialnym samodzielność tę osiągnięto już wcześniej, co wyrażało się m.in. w uzyskaniu uprawnień do nadawania stopni naukowych.

Ale oczywiście duch Uniwersytetu nie może się sprowadzać tylko do koleżeństwa i wzajemnej pomocy. Stosunkowo wcześniej wśród kadry uczelnianej pojawiły się rozważania na temat społecznej funkcji uczelni. W miarę bowiem wzrostu liczby studentów i tworzenia coraz to nowych kierunków studiów stało się jasne, że uczelnia przerasta pierwotne założenia, kiedy to widziano ją jedynie jako placówkę czysto dydaktyczną, uzupełniającą działalność Uniwersytetu Warszawskiego.

Początkowo była to idea uczelni obsługującej północno-wschodni region Polski z jego specyfiką bardzo swoistą, wynikającą z pluralizmu narodowościowego, religijnego i kulturowego. Macierzysty Uniwersytet Warszawski ze względu na jego stołeczny charakter nie mógł w pełni uwzględniać tej problematyki. Przed drugą wojną światową funkcję tę pełnił Uniwersytet im. Stefana Batorego w Wilnie, a obecnie odczuwało się w tym względzie lukę i to lukę tym dotkliwszą, że wspomniany wyżej uniwersytet pełnił swoją funkcję bardzo dobrze, odciskając swoje piętno w skali ogólnopolskiej. Niemniej jednak w warunkach PRL trudno było do tych tradycji nawiązywać wprost, dlatego podkreślano regionalny charakter uczelni, zwłaszcza że makroregion północno-wschodni był jedynym, który własnego uniwersytetu nie posiadał. Już wówczas jednak czyniono pierwsze kroki wybiegające poza wspomniany schemat. Pamiętam sam, jak to pod koniec lat 70. ekonomiści organizowali konferencję naukową, na którą zaproszono jako gości także profesorów uczelni z sąsiednich republik ówczesnego Związku Radzieckiego. Pełniłem wówczas funkcję dziekana Wydziału Administracyjno-Ekonomicznego i z tego tytułu brałem udział w konferencji. Możecie sobie Państwo wyobrazić moje zdumienie, gdy jeden z profesorów z Mińska przedstawił mi się jako pochodzący „z najdalszych stron Rzeczypospolitej”. Natychmiast zadałem sobie py-

tanie, o którą Rzeczypospolitą mogło chodzić? Czy może pochodził on z kresów wschodnich II Rzeczypospolitej? Otóż nie. Szybko wyjaśniło się, że pochodził on z Homla, a więc z kresów I Rzeczypospolitej. Co więcej, wykazał się bardzo dobrą znajomością problematyki kresowej. Już wtedy okazało się więc, że samo życie skazuje uczelnię na wyjście poza krąg problematyki regionalnej Polski północno-wschodniej.

Przełom 1989 r. w Polsce, a wkrótce potem rozpad Związku Radzieckiego unaocznily z całą jaskrawością nowe wyzwania. Przede wszystkim nastąpiło odrodzenie się polskości na całym obszarze I Rzeczypospolitej. Z racji swoich aktualnych funkcji prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, które to stowarzyszenie - jak wiadomo - ma na celu podtrzymywanie więzi z Polakami na całym świecie, mam możliwość śledzenia tego zjawiska. Przede wszystkim okazało się, że naszych rodaków na Wschodzie jest nie tylko znacznie więcej niż wynikało to ze statystyk urzędowych radzieckich, ale nadto znacznie więcej niż przypuszczano. Prawda jest jednak taka, że polskość była w dużej mierze utajona. Wieloletnie prześladowania doprowadziły do tego, że ludzie nie tylko obawiali się przyznawać do polskości oficjalnie, w stosunkach z władzami, ale nawet obawiali się mówić po polsku. Pamiętam, jak przed paru laty w Grodnie brałem udział w polskiej imprezie kulturalnej, w czasie której odbywał się przemarsz z kościoła farnego do domu kultury przez miasto z polskimi flagami i transparentami. Po drodze składano kwiaty przy pomniku Orzeszkowej. Zauważyłem wówczas, że ludzie płakali. Gdy zapytałem o przyczynę wzruszenia, odpowiedziano mi, że po raz pierwszy Polacy, nie kryjąc się, wyszli na ulicę w sposób manifestacyjny. A była to przecież impreza czysto kulturalna.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Dziś w Grodnie jest już normalnie funkcjonująca polska szkoła, wychodzi polska prasa, a Związek Polaków na Białorusi organizuje pikety o charakterze na poły politycznym, i to mimo nie sprzyjających okoliczności. Ale nie wszędzie się tak dzieje. W wielu miejscowościach, nawet o większości polskiej, ludzie wciąż obawiają się żądać nauczania w języku polskim w szkołach i wykazują postawę oczekiwania na dalszy rozwój wypadków. Po gorzkich doświadczeniach przeszłości trudno się nawet temu dziwić. Pamiętać też trzeba, że w przeszłości zarówno okupant niemiecki, jak i reżim stalinowski ze szczególną zjadłością niszczyli polską inteligencję bądź poprzez jej fizyczną eliminację, bądź przez deportacje w głąb Związku Radzieckiego, bądź wreszcie poprzez mniej lub więcej wymuszoną tzw. repatriację. W rezultacie na miejscu pozostał tylko prosty lud. Oczywiście w ciągu ostatniego półwiecza powoli odbudowywała się polska inteligencja, ale przyszło jej pracować w warunkach szczególnie trudnych, gdyż osoba przyznająca się do polskości praktycznie nie miała dostępu do wyższych stanowisk, a i sam proces wychowywania tejże inteligencji nie był wolny od sowytyzmu, który u wielu pozostawił mniej lub więcej głębokie śla-

dy. Stąd odbudowa polskiej inteligencji jest aktualnie zadaniem szczególnie ważnym. Dodajmy, że chodzi tu o zrealizowanie takiego procesu wychowawczego, który byłby oparty na narodowym i chrześcijańskim systemie wartości.

W tym miejscu trzeba z ogromnym uznaniem podkreślić wagę tych działań jakie podjął Uniwersytet w Białymstoku. Mianowicie wszędzie tam, gdzie nie można było liczyć na normalne nauczanie na szczeblu wyższym, uczelnia ta starała się podejmować takie działania, jakie były możliwe.

I tak np. od paru już lat organizuje się studia zaoczne dla nauczycieli z terenu Białorusi. Realizuje się je w ten sposób, że zajęcia odbywają się na terenie Grodna, a studenci tylko na egzaminy dojeżdżają do Białegostoku. Następnie uzyskują dyplomy Uniwersytetu w Białymstoku. Wymaga to oczywiście dużego nakładu pracy ze strony kadry nauczającej, a także samych studentów, którzy zmuszeni są realizować swe studia w skrajnie trudnych warunkach ekonomicznych.

Ostatnio podobną pomoc dydaktyczną w zakresie prawa i ekonomii realizuje się w Wilnie. Jak wiadomo, uruchomiono tam tzw. Uniwersytet Polski, który wszelako nie uzyskał pełnych praw uczelni wyższej. Wobec tego na pierwszych latach studiów nauczanie odbywa się w Wilnie (jak wiadomo w bardzo trudnych warunkach), a końcowe lata studiów, łącznie z dyplomem, odbywałyby się na terenie Polski, w Białymstoku. Oczywiście są to półśrodki, które nie mogą w pełni zastąpić normalnie funkcjonujących uczelni wyższych, jednak ich podjęcie jest trudną do przecenienia zasługą Uniwersytetu w Białymstoku.

Na tym tle wszakże nasuwa się myśl o szerszym znaczeniu. Mam tu na myśli dziedzictwo I Rzeczypospolitej. Otóż muszę wyznać, że przez długi czas sądziłem, że walec historii: zaborów, wojen, rewolucji - przeorał ziemie wschodnie tak dalece, że pozostały tylko cmentarze, niektóre budowle i niedobitki polskich mieszkańców tamtych ziem. Tymczasem okazało się, że tak nie jest. Wspomnienie dawnej, wielonarodowej Rzeczypospolitej pozostało, podobnie jak pozostało wspomnienie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dość wspomnieć niedawny spór między Litwą a Białorusią o herb państwowy, gdy po załamaniu się Związku Radzieckiego obydwa państwa chciały mieć Pogoń jako swój herb; nawet pewien uśmiech mógł budzić kompromis, polegający na tym, że Pogoń litewska miała konia z ogonem zadartym, a Pogoń białoruska konia z ogonem spuszczonego. Wreszcie prezydent Łukaszenka znalazł wyjście polegające na przyjęciu dla Białorusi godła o kształtach zbliżonych do herbu z czasów ZSRR.

Niemniej jednak w zakresie herbów dzieją się nadal rzeczy zdumiewające. Gdy przed dwoma laty znalazłem się w Mohylewie z okazji otwarcia tam Domu Polskiego, na przyjęciu wydanym z tej okazji przedstawicielka władz miasta po dłuższym przemówieniu wystawiającym prezydenta Łukaszenkę dodała, że rada miejska postanowiła zmienić herb miasta i przywrócić ten, który nadał Mohylewo-

wi król Stefan Batory. Byłem tym również zaskoczony jak w czasie pobytu na Ukrainie, kiedy to telewizja ukraińska nadała film dokumentalny na temat Szarogrodu, podkreślając zasługi fundatora miasta - kanclerza Jana Zamojskiego. Nawet gdy w maju br. znalazłem się na terenie „zbuntowanej” Republiki Naddniestrzańskiej, w Rybnicy oglądałem nieco już przyblakłe transparenty i napisy z okazji rocznicy założenia miasta w roku 1628, a więc za czasów I Rzeczypospolitej, a w Raszkowie, na tle ruin zabytków starego miasta, cudem ocalały, dziś czynny, kościół katolicki, fundacji Lubomirskich, z 1749 r. Przykłady te można mnożyć, może nawet lepiej dobrane. Chodziło mi wszakże o to, by podkreślić, że nawet niechętnie skądinąd Polakom społeczeństwa krajów dawnej Rzeczypospolitej nawiązują do tej tradycji, gdyż znajdują w niej swoje własne korzenie. Co więcej, z odległości czasu, tradycje te wydają się być sympatyczne.

Wiele do myślenia dała mi np. książka niedawno wydana na Ukrainie, obejmująca poczet hetmanów ukraińskich. Przyzwyczajiliśmy się już do wydawnictw gloryfikujących Chmielnickiego i chwalebnych jego poddanie się Rosji. Tymczasem lektura wspomnianego wydawnictwa stwarza inne wrażenie. Oczywiście Chmielnicki jest tam omawiany, ale jakby zmałał na tle innych hetmanów, stawianych na równi z nim, takich jak Sahajdaczny, Mazepa czy Petlura, którzy wcale nie byli prorosyjscy, przeciwnie, ich związki z Polską były ściśle, niekiedy wręcz przyjazne. W wypadku Petlury chodziło nawet o związek już nie z I, lecz z II Rzeczypospolitą.

Przede wszystkim jednak na terenie naszych wschodnich sąsiadów pozostali żywi ludzie, nasi rodacy, Polacy. Nikt nie wie dokładnie ilu ich jest. Może na Litwie statystyki są dokładniejsze, ale to dlatego, że jeszcze w okresie międzywojennym nastąpiło ściśle rozgraniczenie narodowości; dziś wiadomo dokładnie, kto jest Polakiem, a kto Litwinem. Inaczej jest wszakże na Białorusi i na Ukrainie. Granice narodowościowe są tam płynne, wiele jest małżeństw mieszanych, a młode pokolenie często ma inne poczucie narodowe niż pokolenie starsze. Ciągle jeszcze wielu ludzi ukrywa pochodzenie polskie - chociaż na drugim biegunie znaleźć można i takich, którzy chcąc wyjechać do Polski gwałtownie poszukują rzeczywistych lub domniemanych przodków polskich. Np. na Białorusi Polaków ocenia się na około 1 milion, chociaż statystyki radzieckie z 1989 r. mówiły o 418 000. Na Ukrainie płynność stosunków jest jeszcze większa, a szacunki wahają się od 500 000 do miliona, a nawet więcej. Dawniej wyznawana religia była uważana za dobry wskaźnik orientacyjny. Dziś już tak nie jest. Pomijam Litwę, na której katolikami są zarówno Polacy, jak i Litwini. Ale nawet na Białorusi przynależność religijna niewiele daje. Pomijam już okoliczność, że dziedzictwem komunizmu jest znaczny odsetek niewierzących. Ale wśród wierzących stosunki są także złożone. Przede wszystkim trzeba sobie zdawać sprawę z faktu, że po ukazie tolerancyjnym cara Mikołaja II z 1905 r. znaczna część byłych unitów przeszła na ka-

tolicyzm rzymski, a byli to w znacznej mierze Białorusini, zwłaszcza we wschodniej części Białorusi. Stąd schemat: Polak = katolik nie zawsze będzie trafny.

Na Ukrainie stosunki wyznaniowe są jeszcze bardziej zagmatwane, chociaż z innych przyczyn. Tam katolik rzymski miał do niedawna zawsze korzenie polskie (a na terenie dawnej diecezji tyraspolskiej - również niemieckie). Ukraińcy byli albo greko-katolikami (w części zachodniej), albo prawosławnymi (w części wschodniej). Obecnie w dużych ośrodkach miejskich, takich jak Kijów, pojawili się katolicy - konwertycy z dawnych środowisk ateistycznych: rosyjskich lub ukraińskich. Dało to asumpt niektórym duchownym do głoszenia tezy, że językiem nabożeństw powinien być język ukraiński, a na Zadnieprzu język rosyjski. Doprowadza to do tarć i konfliktów między duchownymi i wiernymi - Polakami, którzy, jeżeli nawet w życiu codziennym posługują się językiem ukraińskim lub rosyjskim, to w kościele pragną się modlić w języku polskim, który pełni rolę taką jak ongiś łacina.

Wszystko to oznacza ferment, jaki jest udziałem naszych wschodnich sąsiadów. Nie jest wykluczone, że mają rację ci, którzy twierdzą, że upadek wielkich imperiów zawsze prowadzi do zaburzeń, niekiedy długotrwałych, zanim ustali się na ich gruzach nowy porządek rzeczy. W myśl tej teorii przysłowiowy „kocioł bałkański” jest rezultatem upadku imperium otomańskiego, a po części także wynikiem rozpadu monarchii Habsburgów. Rozpad Związku Radzieckiego, zwanego nie bez racji więzieniem narodów, musiał wywołać podobne zjawiska. Natomiast zaskoczeniem jest, że widoczne są zjawiska sięgające korzeniami upadku I Rzeczypospolitej, owej specyficznej wspólnoty narodów.

Na tym tle powstaje pytanie: jaka powinna być polityka wschodnia Polski? Nie będę ukrywał, że koncepcja „uszczelniania granicy wschodniej, jaką się niekiedy lansuje, budzi mój głęboki niepokój. Powoduje ona ograniczenie kontaktów i uderza nie tyle w przestępczość zorganizowaną (bo taki argument się przytacza), ile w zwykłych prostych ludzi (członkowie mafii z reguły mają wszystkie potrzebne dokumenty). Ograniczanie handlu bazarowego również budzi niepokój. Pomiędzy już okoliczność, że uderza to w interesy ekonomiczne mieszkańców po obu stronach granicy. Przede wszystkim jednak nie docenia się roli bazarów jako bezkonfliktowego łącznika o znaczeniu socjologicznym. To dzięki bazarom spotykają się prości ludzie i najczęściej postrzegają Polskę jako kraj zasobny i życzliwy. Po co niszczyć ten obraz?

Nade wszystko jednak należy wzbogacać i rozwijać więzy kulturowe. Urok dawnych kresów polegał przecież na wzajemnym oddziaływaniu różnych kultur i wzajemnym ich ubogacaniu. Innymi słowy, duch dawnej I Rzeczypospolitej oddziaływał niezwykle silnie na społeczeństwa w niej mieszkające i to nawet na długo po jej politycznym unicestwieniu. Dlatego mam, że kultura polska po-

winna na ziemi I Rzeczypospolitej powrócić, a jej siła przyciągająca powinna stać się fundamentem nowych wzajemnych stosunków sąsiedzkich krajów, które ongiś w jej skład wchodziły. Minęły już czasy dominacji politycznej. Ale oddziaływanie wzajemne pozostało. Na jego bazie kształtować się będzie nowy ład XXI wieku.

Uniwersytet świadom swojej misji może tu odegrać rolę, której nie sposób przecenić. Czego mu życzę z całego serca w tym dniu uroczystym, gdy wdzięczność za jego szczodrobliwą wobec mojej osoby odczuwam szczególnie głęboko wraz z nadzieją, że z jego rosnącym znaczeniem będzie rosło znaczenie tego zaszczytnego tytułu, który stał się moim udziałem.

Andrzej Stelmachowski

Białystok, 1999.06.19